



Niemiecka solidarność

Filip Gańczak

Jest niedzielny poranek 13 grudnia 1981 roku. Wolfganga Stocka, wówczas studenta I roku uniwersytetu w Würzburgu, budzi telefon. W słuchawce odzywa się znajomy głos Jörna Zieglera: – Wolfgang, musimy pomóc naszym polskim przyjaciółom.

Władze PRL wprowadziły właśnie stan wojenny. W kolejnych dniach zachodniemiecka telewizja mówiła coraz więcej o internowaniu działaczy Solidarności i pustych półkach w sklepach za Odrą. Nawet ci, którzy o Polsce wiedzieli do tej pory niewiele, byli poruszeni.

Z tygodnia na tydzień rosła bezinteresowna pomoc humanitarna. Do Polski trafiały paczki i transporty z darami: cukier, margaryna, mleko w proszku, proszek do prania, leki, papierosy. Różne źródła mówią o kilku lub nawet trzydziestu milionach paczek. Dary, nazywane przez Polaków „zrzutami”, napływały w latach osiemdziesiątych także z innych krajów zachodniej Europy, USA, Kanady, a nawet Australii czy Japonii. Ale to właśnie pomoc z RFN była największa.

List od Wałęsy

W sierpniu 1980 roku władze PRL zgodziły się na rejestrację Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego

„Solidarność”. Opozycja triumfowała, co nie zmieniało faktu, że kraj znajdował się na krawędzi zapaści gospodarczej. Brakowało podstawowych produktów. Dramatyczna była na przykład sytuacja w szpitalach. Jednorazowe strzykawki i rękawiczki lekarskie z konieczności były używane wielokrotnie. Psuł się sprzęt do ratowania życia. Brakowało antybiotyków, a nawet żarówek w salach operacyjnych. Jeden z łódzkich pediatrów sprzedawał ponoć na czarnym rynku mleko w proszku, by w zamian kupić penicylinę.

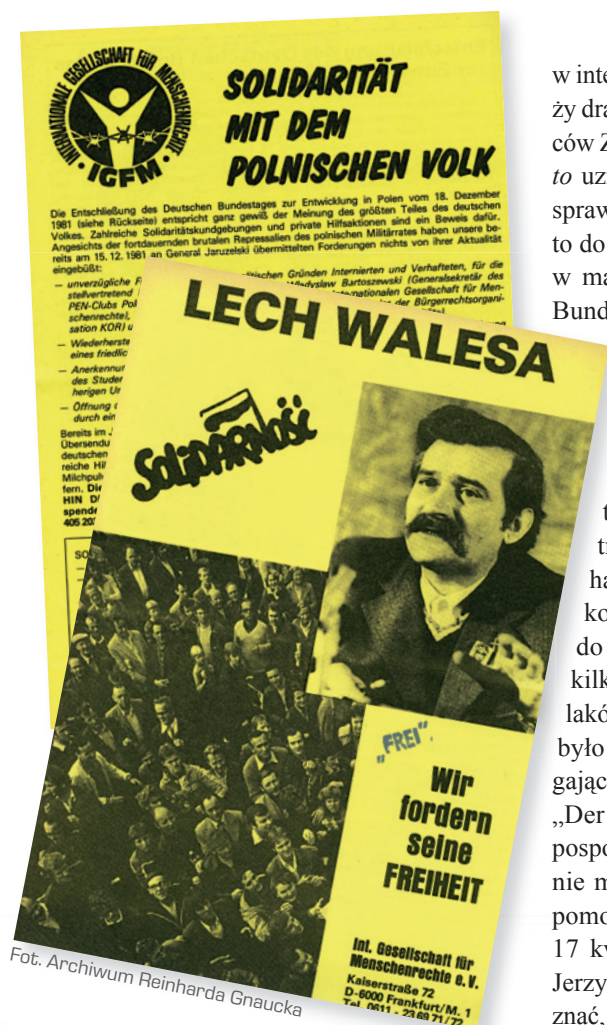
Doktor Reinhard Gnauck był w tym czasie przewodniczącym Międzynarodowego Towarzystwa na rzecz Praw Człowieka (IGFM) we Frankfurcie nad Menem. Towarzystwo 3 października 1980 roku zorganizowało we Frankfurcie pierwszą skromną demonstrację poparcia dla Solidarności. „Wezwaliśmy niemieckie społeczeństwo, związki zawodowe i rząd federalny do słów

i czynów solidarności z Polską – wspomina Gnauck. – Już 9 września 1981 roku dostaliśmy od Lecha Wałęsy pierwszy list z osobistym podziękowaniem”. W akcję pomocy dla Polski włączyły się Niemiecki Czerwony Krzyż, organizacje kościelne, miasta, gminy, stowarzyszenia, związki zawodowe i osoby prywatne. Gunda Barg, gospodyni domowa z Hamburga, zatrudniła się jako sprzątaczką, by za zarobione pieniądze wysłać co miesiąc przynajmniej dwie paczki do Polski. Na pomoc dla mieszkańców PRL zrzucili się nawet więźniowie zakładu karnego w Lubece.

Pospolite ruszenie

Gdy w grudniu 1981 roku ekipa generała Jaruzelskiego wprowadziła stan wojenny, Stany Zjednoczone odpowiedziały sankcjami gospodarczymi. Rząd RFN zareagował dużo łagodniej. Kanclerz Helmut Schmidt podczas spotkania z przywódcą NRD Erichem Honeckerem wyraził ponoć zrozumienie dla decyzji Jaruzelskiego. Co prawda kilka dni później oświadczył w Bundestagu: „całym sercem stoję po stronie robotników”, ale o sankcjach wobec PRL nie było mowy. Schmidt zakładał, że ►

▲ Na zdjęciu: demonstracja poparcia dla Solidarności i polityki USA, Bonn 1982 rok



► Międzynarodowe Towarzystwo na rzecz Praw Człowieka apelowało m.in. o zwolnienie z internowania Lecha Wałęsy

► W czasach stanu wojennego do Polski docierały w ramach darów z RFN tony leków

w interesie polityki odprężenia nie należy drażnić polskich władz ani przywódców ZSRR i NRD. Rząd w Bonn *de facto* uznał stan wojenny za wewnętrzną sprawę Polski. Schmidt zaapelował za to do swoich rodaków, by nie ustawiali w materialnej pomocy dla Polaków. Bundestag 8 lutego 1982 roku zwo-

nił z opłaty pocztowej wszystkie paczki z pomocą dla Polski. Od tego momentu liczba paczek słanych do PRL rosła lawinowo. Przechodziły przez urząd pocztowy nr 2 w Hanowerze. Wkrótce trzeba było uruchomić tam nową halę wysyłkową i zatrudnić dodatkowych pracowników. Codziennie do urzędu trafiało bowiem nawet kilkadziesiąt tysięcy paczek dla Polaków. Po zwolnieniu z opłat łącznie było ich ok. 8,5 mln, o wartości sięgającej ok. 430 mln marek. Tygodnik „Der Spiegel” pisał o „prawdziwym pospolitym ruszeniu”. Polskie władze nie mogły przemilczeć tak dużej fali pomocy. Na łamach „Trybuny Ludu” 17 kwietnia 1982 roku wicepremier Jerzy Ozdowski mówił: „Trzeba przyznać, że dostajemy bardzo dużo”. Ekipa Jaruzelskiego miała dylemat. W obliczu gwałtownej inflacji i problemów z zapatrzeniem przyjęcie darów z Zachodu pozwoliło rozładować społeczne napięcia. Jednocześnie było jednak przyznaniem się, że władza nie potrafi wyżywić własnego narodu.

Powiew normalności

Wiosną 1982 roku IGFM mobilizowało Niemców, by akcja pomocy dla Polski nie okazała się krótkotrwałym zrywem. Żonie Reinharda Gnaucka udało się dotrzeć do Jerzego Giedroycia, szefującego paryskiej „Kulturze”. Powstała dzięki temu słynna *Odezwa do Niemców*, pod którą podpisali się znani polscy intelektualisci: Giedroyc, Leszek Kołakowski, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński czy Józef Mackiewicz. „Pomoc humanitarna dla cierpiącej ludności polskiej powinna być udzielana z pominięciem wszelkich kanałów rządowych – jedynie poprzez kościelne i niezależne organizacje dobroczynne albo poprzez godne zaufania osoby prywatne. Nawiązujcie korespondencję z Polakami, posyłajcie paczki rodzinom w potrzebie” – apelowali sygnatariusze. Odezwa została przedstawiona na konferencji prasowej w Bonn z okazji polskiego święta 3 Maja.

W potrzebie byli choćby Polacy represjonowani przez władze. Jeszcze w grudniu 1981 roku pod patronatem abp. Józefa Glempa powstał Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Komitet działał przy ul. Piwnej w Warszawie – przy kościele św. Marcina, którego rektorem był ks. Bronisław Dembowski. Początkowo dary znosili tu sami warszawiacy. Z czasem zaczęła napływać pomoc z zagranicy. W prace Komitetu zaangażowali się



Fot. Wolfgang & Oriana Stock

m.in. reżyser Maciej Prus i znani aktorzy. „W kościele św. Marcina brałem udział w przygotowywaniu paczek dla internowanych. Z Mają Komorowską rozwoziliśmy je do więzienia w Olszynie Grochowskiej dla kobiet i w Białolecie dla mężczyzn” – wspomina Daniel Olbrychski. Pomoc trafiała także do rodzin internowanych i więzionych członków Solidarności. Takich jak rodzina Jarmoszków z warszawskiego Mokotowa. Elżbieta Jarmoszek współorganizowała w 1980 roku Solidarność Nauczycielską. W czasie stanu wojennego urządziła w swoim mieszkaniu skrzynkę z prasą podziemną. Została aresztowana i trafiła na siedem miesięcy do więzienia. Jej mąż przebywał w tym czasie za granicą. Trzy córki z dnia na dzień zostały same.

„Prokurator straszył mnie, że moje siostry trafią do domu dziecka” – wspomina dziś Krystyna, najstarsza z rodzeństwa. Dzięki temu, że była pełnoletnia, mogła wówczas przejąć opiekę nad młodszymi siostrami: czternastoletnią Marysią i dziesięcioletnią Ulą. Mocno wierzyły, że na święta 1982 roku mama zostanie zwolniona do domu. Dzwonek do drzwi zwiastował jednak coś innego: paczkę z Niemiec – od małżeństwa Gabriele i Josepha Mayerów z Monachium. W środku były m.in. pomarańcze (prawie niedostępne w PRL) i świeca – symbol pamięci. W te trudne święta powiało na chwilę normalnością. Później przychodziły kolejne paczki od Mayerów. „Bardzo mi to pomogło. Było wtedy u nas biednie. Mamie zabrano pensję. Musiałam sama zarobić, żeby utrzymać siostry” – mówi Krystyna. Równie ważny był psychologiczny wymiar tej pomocy. „To był dowód, że nie jesteśmy same. Że nawet za granicą o nas wiedzą. Obcy ludzie wyciągnęli do nas rękę w sytuacji, kiedy nawet rodzina się bała”.

Pomysłowy przemysł

Dary z RFN przychodziły nie tylko pocztą. Były także wożone w konwojach. Gotowość do pomocy była ogromna. „Dostałam 12 tirów zabawek. Jakis



Fot. Wolfgang & Oriana Stock

► Niemieccy ochotnicy wożący dary dla Polaków zatrzymywali się w Gdańsku u ks. Henryka Jankowskiego

hurtownik dał nam 8 tysięcy par butów. A kiedy w Niemczech likwidowano jakiś szpital, to się tam pojawiałam i brałam rzeczy, które jeszcze były dobre, na przykład ultrasonografy” – opowiada na łamach „Rzeczpospolitej” dr Krystyna Graef z Frankfurtu nad Menem, która z pomocą dla Polaków zaczęła jeździć jeszcze przed stanem wojennym. Graef woziła w tym czasie także m.in. mleko w proszku i detergenty. Dość łatwo było dostać bezpłatne próbki leków, jakie firmy farmaceutyczne dawały lekarzom. Ciężarówki można było wynająć za symboliczne pieniądze lub nawet pożyczyć za darmo. Każdy w RFN, kto miał zwykłe prawo jazdy, mógł wówczas prowadzić pojazd o nośności do 7,5 tony. „Jeździliśmy dwójkami. Jedna osoba spała, druga prowadziła. I tak na zmianę, dzień i noc – wspomina Wolfgang Stock. – Międzynarodowe Towarzystwo na rzecz Praw Człowieka pomagało nam organizacyjnie i finansowo. Tego jednak nie mogliśmy powiedzieć polskiemu urzędnikom. IGFM było źle widziane przez rząd PRL. Zwróciliśmy się więc do protestanckiego zakonu joannitów, znanego z działalności charytatywnej. I jeździliśmy pod ich szyldem”.

Młodzi Niemcy kontaktowali się z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski. W Gdańsku nocowali u ks. Henryka Jankowskiego. W Warszawie zatrzymywali się u ks. Jerzego Popiełuszki. Jeździli również do Wrocławia, Katowic, Łodzi i wielu innych miast.

„Zaczęliśmy od żywności i odzieży. Potem doszły do tego lekarstwa i sprzęt dla szpitali. Gdy poczuliśmy się pewniej, szmuglowaliśmy nawet sprzęt i materiały dla polskiej opozycji” – mówi Stock. Do Polski trafiały w ten sposób wydawnictwa emigracyjne, kserokopiarki, farby drukarskie czy sprzęt radiowy. W drugą stronę przewożone były m.in. publikacje podziemnej prasy.

Było normą, że podróż w dwie strony trwała pięć, sześć dni. „Polska kontrola to było pół biedy, ale musieliśmy przejechać przez NRD. Tamtejsi pogranicznicy byli dużo bardziej skrupulatni” – opowiada Marie Zielińska, w tamtym czasie studentka z Fryburga. Bywało, że celnicy otwierali każdą paczkę. A w konwoju jechało co najmniej kilka ciężarówek, z których każda wiozła po kilka ton pomocy. „Któregoś razu sprawdzali nas przez 48 godzin” – mówi mający podwójne obywatelstwo Paweł Janczewski, który w latach 1982–1989 ►

jeździł z Würzburga z transportami do Polski. Zdarzały się upokarzające kontrole osobiste. To była wyraźna sztykana. Pomysłowość kierowców nie znała granic. „Najlepszy schowek był w starej maszynie do oczyszczania powietrza. Można ją było rozkręcić i przy filtrach było sporo miejsca. Inną skrytkę zrobiliśmy w komorze silnika, jeszcze inną w rurach, które trzymały plandekę ciężarówki” – opowiada Janczewski.

Były sposoby, by oblaskawić celników i żołnierzy. Czasem wystarczyło trochę alkoholu, by kontrola była mniej drobiazgowa. Czasem major dostał narty albo rower dla dziecka. Nawet nieprzewidziane trudności udawało się pokonać. „Był chyba rok 1984. Nigdzie w Polsce nie można było dostać diesla, nawet na kartki. Koło Legnicy ktoś nam powiedział, żebyśmy poszli do Rosjan. Mieli cysternę przykrytą plandeką. Gdy się ściemniło, mogliśmy zatankować do pełna. Kosztowało nas to kilogram kawy i pięć kilo pomarańczy” – mówi Janczewski.

Mimo wszystko kierowcy brali na siebie olbrzymie ryzyko. „Wieźliśmy kiedyś palety z syropem na kaszel. W trzech kartonach na samym końcu ukryliśmy rozłożoną na części maszynę drukarską. Celnik w ostatniej chwili zrezygnował z dokładnego przejrzania tych kartonów” – wspomina Janczewski. W razie

wpadki kierowcom ciężarówki groziło nawet pięć lat pozbawienia wolności.

„Niebezpieczeństwo było ogromne – przyznaje Stock. – Liczyliśmy jednak, że o sprawie dowiedzą się media i niemiecka opinia publiczna. Po kilku miesiącach zapewne wyszlibyśmy na wolność. Władze PRL nie chciały mieć złej prasy na Zachodzie. W najgorszej sytuacji były osoby z polskim obywatelstwem. Im trudniej byłoby pomóc”.

Żli i dobrzy Niemcy

W kolejnych latach transporty z darami przyjeżdżały nadal. Kiedy w 1986 roku Władysław Bartoszewski odbierał we Frankfurcie nad Menem Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich, mówił o akcji pomocy dla Polski: „Jej pełne psychologiczne znaczenie okazało się w przyszłości bardziej istotne niż jej niewątpliwe znaczenie materialne”. Paczki i ciężarówki z pomocą z Zachodu to poważny wyłom w żelaznej kurtynie, która po II wojnie światowej podzieliła Europę. Komunistyczna propaganda przez długie lata przekonywała, że Niemcy z RFN to rewanżyści, czekający tylko na dobrą okazję, by odzyskać Wrocław, Szczecin i Gdańsk. W latach osiemdziesiątych Polacy przekonali się, że w RFN mieszkają także tysiące ludzi dobrej woli. Paczki i dary przychodziły również od Niemców wysiedlonych z Mazur, Pomorza czy Śląska. Między darczyńcami i obdarowanymi nawiązały się przyjaźnie, które w wielu

przypadkach przetrwały do dziś. Nie brakowało też romantycznych historii. Wolfgang Stock przy okazji któregoś z transportów poznał Orianę von Lehsten, studentkę z Heidelbergu. Pobrali się w 1986 roku i w podróż poślubną pojechali do Polski. Ich koleżanka Marie Zielińska, wówczas jeszcze używająca panieńskiego nazwiska von Spee, rozpoczęła w 1987 roku studia w Lublinie. Wyszła potem za Polaka i dzisiaj mieszka koło Krakowa.

Stock jest dziś profesorem. W 2010 roku otrzymał z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego „Medal Wdzięczności” Europejskiego Centrum Solidarności. Jednak nie wszyscy, którzy w latach osiemdziesiątych nieśli pomoc Polakom, doczekali się należytego uznania. ■

Dziękuję pani Marii Jarmoszuk i panu Gerhardowi Gnauckowi za pomoc w nawiązaniu kontaktu z bohaterami tekstu.

Korzystałem także z książki *Pomoc dla Polski. Zostali przemytnikami dla Polaków* pod red. Barbary Cöllen, Bartosza Dudka i Krzysztofa Ruchniewicza (wyd. Atut, Wrocław 2011).

O niemieckiej pomocy dla Polski opowiada również dokumentalny film *Paczki solidarności*, dołączony do tego wydania „Pamięci.pl”.

